

TADEUSZ KANNENBERG.

HE-LA!

Słupski, choć młody, jednak powodów do smutku miał tak wiele, że słusznie mógł mieć pretensję do świata, że dzieje mu się krzywda. Wszak miał lat 33 i — rzecz niesłychana — nigdy się nie kochał!

Tak jakoś zeszło!

Szkoła, lekcje, egzaminy, wojsko, praktyka inżynierska i tak dzień za dniem, aż do dziś.

Rok mija, odkąd Słupski „siedzi” na posadzie. Prowincja rzetelna. Trudno byłoby tu wytrzymać, gdyby nie Niewiczowa, u której najął mieszkanie z utrzymaniem.

— Niewiczowa? — rozmyślał. — Przy niej czuje się dziwnie spokojnie i błogo.

— Czyżby?...

Skądże znowu! Wszak sentyment zwykły się inaczej budzić — zresztą, Niewiczowa chyba nie myśli o nim? Nie, nie!

— A jednak?... myśl wraca uporczywie. W jej towarzystwie czuje się tak dobrze! Prawda, że najczęściej dzieje się to po obiedzie lub kolacy, którą ona doskonale przyrządza... ale znowu wszyscy doskonale wiedzą, że pierwsza miłość musi być albo idealna, albo namiętna. A tu? ani jedno, ani drugie. Słupski nie wiedział, co ma myśleć! Trudno... nigdy nie kochał, więc nie wiedział!

Raz po kolacy rozmawiali ze sobą dłużej.

— Niech mi pani wierzy, że zastanawiałem się wiele nad sobą i swoim życiem i po długich rozmyślaniach doszedłem do wniosku...

— Jestem ciekawa?

— Oto, że to co poeci mówią i o czym piszą, i w co każą nam święcie wierzyć, w tę wielką chwilę płomiennej miłości w życiu każdego człowieka — to frazesy, oparte na przesadnej wrażliwości nerwowej naszej młodzieży. Kto w młodości przetrwał ten, bądź co bądź chorobliwy okres szczęśliwie, dlatego dalsze życie przedstawia się już w codziennych, a nie różowych, barwach.

— Jakby mi pan z ust wyjął! U nas? gdzie tam, która zaraz się kocha! Idzie za męża, bo tak trzeba, bo tak każą, bo tak wypada, bo tak lepsze wreszcie zamążpójście, jak staropanieństwo! W małżeństwie dopiero rodzi się prawdziwa, stateczna i spokojna miłość.

— A widzi pani?

— Albo i ja?... Przecież nie z miłości wyszłam za męża. Wyszłam? bo tak trzeba było. Mąż był dobry, starszy, może i za stary nawet, ale toby nic nie stanowiło, gdyby nie to, że w domu był ciągły szpital. Wciąż chorował, a i ja przy nim byłam ciągle słaba. No i Hela wciąż jeszcze zagrożona, uczyć się musi na pensji w Szwajcaryi. Mąż umarł na płuca. Zostałam sama z Helą. Ona... to cała moja pociecha! Ładne dziecko, dziś już panna, ma 17 lat. Oczy?... te oczy panie... ludzie się oglądali. Ja takich oczu, jak mi Bóg miły, nie widziałam nigdy w życiu... Ot! ciężkie było życie, a przecie nie narzekam!

— Jaka pani dobra! — i pocałował ją w rękę. Równocześnie spostrzegł po raz pierwszy, że ma rękę kształtną, miłą w dotknięciu i że pachnie fiołkową wodą kolońską.

* * *

Źle jest. Do późnej nocy nie mógł zasnąć. Ciągłe czuł zapach fiołkowej wody i ciągle miał przed oczyma rękę Niewiczowej. Wreszcie zmęczony zasnął. Śniło mu się, że przez dziurkę od klucza zagląda do jej sypialni i że widzi ją...

Zerwał się z łóżka. Otarł pot z czoła. Potem miał straszne sny. Rano obudził się z silnym bólem głowy.

Przez cały dzień pracował intensywnie, mimo to czuł się nieswojo. Nad wieczorem poszedł się przejść. Lubił spacerować dalekie i samotne. Wszak i życie jego dotąd schodziło w samotności. Szedł przed siebie w cichą wieczorną dal. Zeszedł z gościńca i wszedł na tor kolejowy, który skręcał w lewo ku ciemnej plamie dalekiego lasu. Lubił te szerokie widnokręgi, lubił okiem łowić jak najdalsze przedmioty, lubił zapatrzyć się w daleki punkt na horyzoncie i tak stać choćby godzinami. Wówczas nie myślał o niczym a przecie zdawało mu się, że w ten sposób właśnie przeżywa najbardziej filozoficzne zagadnienia wszechbytu. Wszedł na długi most

rzucony nad rzeczką, która po ostatnich deszczach sporo wezbrała. Koryto miała szerokie, po obu brzegach rosły krzaki dzikiej łożyny. Był nad środkiem rzeki.

Nagle usłyszał za sobą przeraźliwy gwizd lokomotywy i straszliwy tętent kół po stalowych szynach. Chwycił się za głowę. Co począć? przed siebie? nie zdąży. Z krótkim okrzykiem przerażenia zamknął oczy i skoczył w rzekę.

Pociąg w pędzie przedudnił ponad nim.

Wody było dużo, więc się nie potłukł — zgubił jeno kapelusze i cwikier.

Księżyc zeszedł w pełni, — gwiazdy na niebie zaśnięły migotliwym blaskiem, zanim Słupski, po dłuższym wypoczynku pod filarem mostu, zdecydował się przepłynąć przez łożynę na brzeg ku domowi. Wyciągając po kolei nogi z grząskiego mułu, uprzytomnił sobie każdy szczegół przeprawy Skrzetuskiego przez staw pod Zbarażem. I stanął nie dlatego, że „zoczył wrogie czaty”, lecz że trafił na dołek błotny, skąd nie sposób było wyciągnąć nogi z butem. Chwilę myślał, zanim się zdecydował. Szarpnął nogę prawą, potem lewą i już lżejszym krokiem (bez butów) energicznie gramolił się ku spadzistej szkarpie.

Słupski rozchorował się; dostał silnej odry.

— No! wiecie państwo! — śmiała się Niewiczowa po upływie tygodnia, gdy niebezpieczeństwo komplikacji już minęło — żeby w tym wieku dostać odry? Toć moja Hela przebyła ją w siódmym roku. Ale żeby mężczyzna?

— A widzi pani?

— Bo też pan powinien się ożenić! Nie chodziłby pan po polach i nie narażał swego zdrowia.

— Któż mnie zechce?...

— No, no, no... nie trzeba być zanadto skromnym.

— A gdybym tak poprosił panią, byś zechciała być moją żoną? — Chciał się podnieść z łóżka.

— Proszę się nie podnosić, jeszcze się pan przeziebi! — zawołała Niewiczowa, układając go z powrotem na poduszkę. Przy tej sposobności przechyliła głowę ku jego twarzy i pocałowała go w usta.

* * *

Tejże jeszcze jesieni Słupski ożenił się z Niewiczową. Hela nie mogła przyjechać, kończyła bowiem ostatni rok pensji i uczyła się właśnie do końcowego egzaminu.

Jakże to dziwnie się plecie! Gdyby tak kto przed rokiem powiedział Słupskiemu, że się ożeni z Cesią Niewiczową, byłby go wyśmiał. A dziś, gdyby go tak kto spytał, dlaczego właściwie ożenił się z Cesią, nie umiałby odpowiedzieć. W każdym jednak razie odrzekłby z pewną dumą, jako swym życiem zrównoważonego mężczyzny stwierdził aż nadto dowodnie, że pisarze i poeci kłamią wierutnie „o miłości” — praw! Jest sympatya, jest pociąg — nie przeczy — jest szacunek i przywiązanie, serdeczność wreszcie i wszystko, wszystko, co chcecie, tylko nie ta wasza „miłość” — chyba, że to razem wzięwszy, stanowi właśnie ową wielbioną „miłość”. W każdym razie nie powinno się ludzkości oczu mydlić!!!

* * *

Pierwsze miesiace wspólnoty małżeńskiej miały szybko i miło.

Słupski był wesół i coraz lepiej wyglądał. Pani Cesia natomiast była coraz bledsza, chudła w oczach i coraz bardziej pokaszliwała. Wreszcie rozchorowała się na dobre i tak zaczął się zwykły domowy szpital. Słupski stracił humor i był opryskliwy. Smutna to była zima, a i z wiosną niewesoło. Hela kończyła świetnie ostatni kurs. Przysłała fotografię.

Oczy! te oczy! Słupski nie mógł się im napatrzyć. Dość powiedzieć, że chyłkiem ukradł żonie tę fotografię i nie przyznał się, mówiąc, że gdzieś mu się „zapodziała”.

Odtąd coraz częściej przesiadywał w pokoju Cesi.

Leki nie skutkowały i lekarz jako ostateczny środek zalecił wyjazd latem nad morze. Oboje chętnie na to się zgodzili.

Hela, która właśnie kończyła pensję, miała zjechać się z nimi nad morzem.

Słupskiemu szybko czas mijał na przygotowaniach do podróży. Nader skrupulatnie uzupełniał swą garderobę. Dużo nowych rzeczy zakupił.

— Patrząc tak na ciebie, zdaje mi się, jakbyś uważał ten wyjazd za długo oczekiwane wakacje? Ze wszystkich tych ruchów bije radość, a przecie ja czuję się coraz gorzej!

— Skądże znowu? zajmuję się przygotowaniem do podróży i nic więcej. Ktoś przecie musi się tem zająć! — kłamał. — Zobaczysz, jak szybko ozdrowiejesz nad morzem!

— Ciężko, oj ciężko!

* * *

Morze! Czyż trzeba opisywać, skoro najsmielsze nawet opisy wrażeń nie dorównują temu zachwytowi, jakie morze wzbudziło w Słupskim, który po raz pierwszy w życiu miał nad nim spędzić lato.

Hela przyjechała.

Tragizm życiowy widocznie czyhał na Słupskiego.

Hela zrobiła na nim wprost niesłychane wrażenie. Jak ją po raz pierwszy zobaczył, nie mógł kroku postąpić. Oczy! te oczy! Przykuła go niemi do ziemi tak, że stał jak uczeń przed surowym nauczycielem.

— A cóż tak zmartwia — rzekła osłabionym głosem Cesia, która dziś, mimo przecudnego powietrza i słońca, czuła się jeszcze gorzej, niż zwykle.

— Ah! nie! tylko nie wiem... nie mam...

W rzeczywistości nie wiedział co odpowiedzieć, ale że Cesia dostała nagle ataku, więc odpowiedź stała się zbytęzną.

Słupski wyszukiwał w ciągu dnia tysiączne sposobności, by być blisko Heli. Gdy się jej dotknął, dreszcz go przechodził. Najmilsze bywały chwile, gdy nad morzem bawili się, czy to jak dzieci w piasku, czy pluskali w łagodnych falach morza. Cesia w wózku nad brzegiem patrzyła na oboje, zrazu z pewnym zdziwieniem — potem z przerażeniem, bo to, co się poczynało przed jej wyplakanymi oczyma, przechodziło jej siły.

A oni tymczasem oboje czuli, że życie otwiera dla nich swe, dotąd dla każdego z nich zamknięte podwoje, okazując im nieznane światy, zawrotnych tajemnic pełne.

Bywało, Słupski nie spał nocami, gryzł poduszki, wyrwał sobie włosy z głowy, tłumiąc przeraźliwy okrzyk przerażenia. Bo i on był przerażony tem, co się dziać zaczynało. Lecz nie mógł i nie chciał przeciwdziałać, owszem wyciągał przed siebie ramiona, jak człowiek po długim pobycie na morzu, gdy ląd zobaczy.

Nie patrzył na Cesię — nie mógł — bał się. Cesia również wzroku jego unikała, choć w ostatnich dniach tak podupadła na siłach, że wszystko, co poza nią się działo, powoli zaczynało tracić na wartości. W nocy miała tak silny atak, że oboje z Helą przybiegli do łóżka, by ratować nieszczęśliwą.

Hela z rozpuszczonymi włosami, w białym peniuarze, wyglądała jak zjawisko cudne. Podtrzymując Cesię, oboje trzymali się za ręce. Po długich cierpieniach Cesia wreszcie usnęła. Oboje wyjęli ręce z pod poduszki chorej i nagle, niewiedomo jak się to stało, oboje znaleźli się na balkonie. Słupski porwał dziewczynę w swe silne ramiona i przywarł ustami do jej wilgotnych ust.

Szalał.

Szał ten udzielił się i Heli. Świt zastał oboje z ustami na ustach.

Nowy atak Cesi przyprowadził ich do przytomności.

Dzień następny był dla wszystkich pod każdym względem straszny. Nad wieczorem Cesia upadła się, by ją zawieść nad morze. Słońce cudnie zachodziło, schylając swą wielką złotą tarczę w jak najdalsze ciemno-granatowe linie fal na horyzoncie. Cisza panowała dokoła i wyjątkowo pusto było nad brzegiem.

Słupski stał przy żonie, Hela zapatrzyła się w słońce. Nagle podbiegła do brzegu i wskoczyła do łódki, nad brzegiem pozostałej. Chwytała za wiosła i wolno odpłynęła od brzegu. Słupski chciał wskoczyć za nią, lecz żona dostała nowego ataku. Nachylił się nad nią, spoglądając co chwila za Helą.

Łódka coraz bardziej oddalała się od brzegu.

Wpłynęła na czerwony od ostatniego promienia słońca w nieskończoność wydłużony pas wodny. Postać Heli na tle tarczy słonecznej rysowała się jak czarna plamka, która coraz wyżej dostawała się na górny krąg słońca.

Chciał biec — żona kurczowo chwyciła go za rękę. Z rozszerzoną żrenicą Słupski wpatry-